

MAGDALENA KOZAK

ZBIÓR OPOWIADAŃ

Spis treści

Czarna chmura.....	3
Interes	9
Świt.....	16
Zbójcy.....	22

Czarna chmura

Księżniczka rozpoczęła dzień od tradycyjnej walki z ciężkimi, aksamitnymi zasłonami. Naszarpała się z nimi dobrze zanim wreszcie wyrzała na świat.

Dzień był piękny. Słoneczko przygrzewało życzliwie, po lazurowym niebie mknęły pojedyncze białe cumulusy, zieleń zieleniła się, kwiaty kwitły a ptaszki śpiewały. Słowem, wszystko było w jak najgorliwszym porządku. Księżniczka rozejrzała się po krajobrazie z wyraźną aprobatą, po czym spojrzała w dół, szukając wzrokiem Strażnika.

Pod Wieżą stał bez ruchu czarny koń a na nim zasiadał Czarny Rycerz, obaj niczym granitowe posągi wmurowani w trawę pod oknem.

Księżniczka natychmiast cofnęła się w popłochu do swej komnaty.

Zaspałam! – pomyślała z przerażeniem. Zaspaliśmy wszyscy, na amen! Co za pech, że też nam się znowu zachciało grać w te cholerne okręty do białego rana...

Podbiegła do drugiego okna, tego od strony jeziora.

– Pssst, pssst! – zaszemrała rozpaczliwie. – Paaasiuuu... Ryyceeerz...

Tafla wody pozostała niestety niewzruszona. Nawet najdrobniejsza zmarszczka nie zmaciła gładziusieńkiej powierzchni. Tylko chmury przeglądały się w niej z samozachwytem, dumnie przechadzając się ponad nią, jedna po drugiej.

No, proszę, jeszcze i to! Paskuda wczoraj zdecydowanie za dużo zjadła, pomyślała Księżniczka z rozpaczą. Trzeba było jej jakoś te krowy reglamentować, teraz będzie spała przez tydzień!

Pokręciła się po pokoju w desperacji. Co robić, co tu robić...

Na dole zazgrzytały drzwi, Strażnik wyszedł ze swojej kwatery, przeciągając się. Rozejrzał się wokół beztriosko, napotkał wzrokiem Rycerza...

– O, dzień dobry – powiedział z głupią miną.

Rycerz zmierzył go ponurym, mrocznym spojrzeniem.

– Czy tutaj przebywa piękna Księżniczka, więziona przez straszliwego Potwora? – zapytał głosem, przywodzącym na myśl piekielne czeluście.

– I owszem... – Potaknął Strażnik, wycofując się dyskretnie do swojej kwatery. – Paaasiuuu! – wrzasnął na cały głos, wpadł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Zaczął się gorączkowo przebierać w bardziej oficjalny strój. Zdesperowanym wzrokiem rozglądał się wśród swojej kolekcji mieczy. Który teraz pasuje do sytuacji, trzeba jakoś zatrzeć tę gafę... Ten? A może ten bardziej zdobiony? O, ten czarny będzie pasował.

Woda w jeziorze zafalowała, jakkolwiek bardzo niemrawo. Rozległo się kilka głuchych stęknęć, potem niezadowolone parsknięcie... Wreszcie Paskuda wynurzyła się, jakkolwiek tylko do połowy. Popatrzyła na Wieżę, szukając wzrokiem znajomych postaci Księżniczki lub Strażnika. Jej wzrok napotkał jedynie Czarnego Rycerza.

– Mniam? – zapytała z wyraźną niechęcią, popatrując na niego bez entuzjazmu.

Księżniczka uznała, że najwyższy czas już wkroczyć do akcji. Ukazała się w oknie Wieży, powiewając chusteczką.

– Po-mo-cy – stwierdziła, nie przykładając się zbytnio do nadania swym słowom chociażby cienia realizmu.

Paskuda popatrzyła na nią z wyrzutem. Nieopatrznie przeładowany żołądek ciążył jej, niczym wyrzut sumienia. Ale cóż, praca to praca.

– Mniaaaam – westchnęła, zrezygnowana.

Z wyraźnym trudem wzbiła się do góry, ciężko młócąc skrzydłami. Rycerz podniósł głowę, popatrzył na nią bez odrobiny lęku, za to z jakąś taką przeraźliwą determinacją.

– Pożryj mnie, nikczemny potworze! – zadeklamował, dokładnie w momencie, gdy gadzina składała się do piki.

Paskuda wybałuszyła oczy ze zdumieniem, załopotowała skrzydłami, tracąc równowagę, po czym, po raz pierwszy w swoim życiu... chybiła, uderzając pyskiem w grunt dobre parę metrów od Rycerza.

Ziemia zadudniła z łoskotem, Paskuda pojechała kilkanaście metrów po trawie, zostawiając za sobą równiutko wyorany ślad. Kępki zieleni, fragmenty korzeni i grudy ziemi rozprysły się po bokach, w nieudolnej imitacji błotnej fontanny.

– Pasiu! – krzyknęła Księżniczka w przerażeniu, wychylając się z okna, jak mogła najbardziej.

Strażnik natychmiast wypadł ze swojej izdebki. Podbiegł do Paskudy, która przysiadła na ogonie i kiwała pyskiem na wszystkie strony, z wyjątkowo ogłupiałą miną. Najwyraźniej wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie.

– Nic ci nie jest? – zapytał Strażnik szybko, chwytając ją za łeb i przyciągając go ku sobie.

Zakrył jej ręką to jedno oko, to drugie, sprawdził, czy ma wciąż równe źrenice, wreszcie podwinął jej raz jedną, raz drugą powiekę. Wynik tego pobieżnego badania usatysfakcjonował go najbardziej, westchnął bowiem z wyraźną ulgą.

Czarny Rycerz przyglądał się im z ostentacyjnym niesmakiem.

– Stawaj do walki, nikczemny potworze! – zażądał stanowczo.

Strażnik odwrócił się ku niemu.

– Może mógłbyś wrócić jutro? – rzucił, poirytowany. – Smok jest dzisiaj niedysponowany. Przyjdź kiedy indziej...

Rycerz popatrzył na niego z miażdżącą pogardą.

– To ja wybieram dzień mojego Przeznaczenia. – oznajmił. – Teraz albo nigdy, stawaj do walki, potworze!

Paskuda popatrzyła na niego ze łzami w oczach.

– Mniam, ble – stwierdziła w odpowiedzi i demonstracyjnie odwróciła się tyłem.

Rycerz pokręcił głową z wyraźnym osłupieniem.

-To oburzające – powiedział.

Strażnik, chcąc nie chcąc, musiał się zachować.

– Stawaj do walki! – powiedział, wzdychając ciężko i wyciągając z pochwy elegancki, czarny miecz.

Czarny Rycerz popatrzył na niego z wysokości swego konia. Nagle załkał, głębokim, zduszonym szlochem, jakby coś w nim pękło.

– Nie wygłupiaj się – powiedział drżącym głosem. – Ciebie to przecież zabiję od razu. O smoka mi chodzi...

– Wcale nie jestem ładna. – rzuciła Księżniczka z okna, z desperacją w głosie. – A jak się robi gorąco, wyskakują mi paskudne pryszczki. I mam nieciekawych charakter. A ojciec w ogóle nie ma pieniędzy...

Rycerz machnął tylko w jej kierunku ręką. Wzgardliwie.

– Wiem, wiem – rzucił. – Zresztą, wszyscy wiedzą...

– No więc o co ci chodzi? – Strażnik był co najmniej zdumiony. – Widzę, że masz w herbie czarną chmurę, chcesz sobie zmienić na inny, bardziej atrakcyjny, albo dołożyć "Pogromcę Smoków" do tytułatury? Paskuda wcale nie jest aż tak atrakcyjnym przeciwnikiem, żeby się potem można było chwalić, wierz mi...

– Ale pożreć by mnie mogła, prawda? – wybuchnął Rycerz, zsiadając z konia. – I zginałbym chwalebnie... – Podszedł szybkim, zdecydowanym krokiem do Paskudy, odrzucając w bok miecz. – A teraz, może tak? – zaproponował z wyraźną nadzieją.

– Mniem, ble – powtórzyła Paskuda uparcie, odwracając od niego głowę z ostentacją.

Rycerz usiadł na porośniętej trawie, skrywając twarz w dłoniach.

– Nawet smok mnie nie chce! – załkał z wyrzutem.

Strażnik westchnął i schował miecz, po czym zasiadł tuż obok niego. Księżniczka wychyliła się ze swojej Wieży jeszcze bardziej, balansując na granicy wytrzymałości parapetu i nasłuchując z ciekawością. Nawet Paskuda połowicznie odwróciła łeb w ich stronę, strzygąc jednym uchem.

– No, stary, o co chodzi? – rzucił Strażnik, wkładając w to zdanie całą empatię, jaką kiedykolwiek był dysponował.

– Nikt mnie nie chce, wszyscy się mnie boją... – Pokręcił głową Rycerz w wyraźnej rozpacz. – Taki jestem Czarny...

– To zmień kolor, kup sobie nowe ubranie – zaproponował Strażnik trzeźwo.

Rycerz potrząsnął głową w zdecydowanym proteście.

– Nie ma mowy – stwierdził kategorycznie. – To najpiękniejszy kolor, i tylko w nim mi do twarzy.

– Aha – powiedział Strażnik, rezygnując z jakiegokolwiek dalszej dyskusji.

– Same nieszczęścia mnie spotykają – pożałował się Rycerz, niezrażony dość lakoniczną odpowiedzią rozmówcy. – Posłuchajcie tylko... Służę u jednego z okolicznych Władców, ze zrozumiałych względów nie będę wymieniał żadnych nazwisk. Należę do jego Gwardii Przybocznej. Jak się możecie domyślać, jest to nasza najlepiej wyszkolona, elitarna jednostka, Gideford Anamirien jest w nas po prostu zakochany. Czujecie ten ból? – zakrzyknął patetycznie.

Popatrzyli po sobie z niewyraźnymi minami. Nie czuli, nic a nic.

– W każdej chwili może okazać się, że jestem nie dość dobry, i wyrzucą mnie z Gwardii – pożałił się Rycerz. – Tak, wiem, na razie wygrywam wszystkie turnieje, ale to przecież nie może trwać wiecznie. Kiedyś przyjdzie ktoś, kto będzie lepszy, to nieuchronne. Czy warto w ogóle żyć wobec takiej perspektywy?

Popatrzył najpierw na Strażnika, potem przeniósł wzrok w górę, na Księżniczkę. Przezornie zachowywali kamienny, posępny wyraz twarzy.

– Widzę, że groza mej sytuacji odebrała wam mowę – skostatował Czarny Rycerz z nieudolnie maskowanym zadowoleniem. – Ale to jeszcze nie wszystko, to dopiero początek moich problemów.

– Jeżeli są aż tak straszne, to może nie powinniśmy o nich słyszeć? – zaproponował nieśmiało Strażnik. – Dama nie będzie mogła spać po nocach...

Księżniczka westchnęła rozdzierająco, wzmacniając jego wypowiedź.

– Niech się uczy życia – powiedział Rycerz ponuro. – Niech sobie nie myśli, że jest tańcem po płatkach róż...

Pokiwali głowami ze źle skrywanym rozczarowaniem. Nie zauważył z tego nic.

– Mam żonę – wydusił z goryczą. – To najpiękniejsza i najmądrzejsza pani w całym Księstwie. Nawet Księżna, choć niechętnie, musiała to przyznać.

– Oj, to niedobrze – powiedzieli naraz oboje. – To się może dla niej źle skończyć...

Paskuda odwróciła się nagle i usiadła frontem do Rycerza, postanawiając najwyraźniej skończyć z konspiracją. Ciekawie wbiła w niego swoje pionowe, gadzie źrenice.

Rycerz pokraśniał z wyraźnym zadowoleniem. Nareszcie miał pełne audytorium.

– Nasza Pani nie jest zawistna, z jej strony nic mej małżonce nie grozi – wyjaśnił. – Poza tym, żona jest z bardzo możnego rodu, wszyscy muszą się z nią liczyć. Dzięki niej ze mną też. Sami więc widzicie, po prostu zgroza.

– Jaka zgroza? – nie wytrzymał Strażnik. – W czym problem?

– Rzuci mnie – oznajmił Czarny Rycerz, łzy zakręciły mu się w oczach. – Rzuci mnie prędzej czy później, to nieuniknione...

– Jeżeli będziesz tak marudził, to z pewnością tak się stanie! – orzekła brutalnie Księżniczka. – Po co sam sobie tworzysz kłopoty?

Popatrzył na nią z nietajoną nienawiścią.

– No, właśnie – powiedział. – Wszyscy tylko by mi chcieli wsadzić jakąś szpilę. Nikt mnie nie rozumie. Ty też.

– Ech! – zeżliła się nagle, machnęła ręką i wycofała się z parapetu.

Podeszła do łóżka, postąpiła chwilę w niepewności, po czym powróciła pod okno i ukradkiem nasłuchiwała nadal.

– Żona tak samo mi powiedziała! Że tworzę kłopoty... – wybuchnął Rycerz nietajonym żalem. – Oznajmiłem jej, że skoro jestem dla niej kłopotem i skoro mnie ma kiedyś rzucić, to lepiej będzie, jak sam usunę jej się z drogi. Że pojedę do tego straszego smoka, co to ostatnio pożarł brata naszemu Księciu Panu. Niech mnie też pożre, niech się to wreszcie wszystko skończy...

– I co ci na to powiedziała? – zapytał Strażnik z zaciekawieniem.

– Żeby wrócić na obiad – wycedził Rycerz ponuro. – Widzisz, jaka znieczulica? Takie właśnie są kobiety.

Strażnik pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Co to, to fakt – zgodził się nieopatrznie. – Zupełnie bez serca. Choćbyś sobie człowieku, flaki wypruł, i tak nawet nie zwróca na ciebie uwagi. Co innego, jak przyjedzie jakiś przystojny i utytułowany Rycerz...

Czarny popatrzył na niego aż nazbyt domyślnie tudzież wyjątkowo wyniośle.

– Ty chyba się tutaj za bardzo nie rozmarzasz, co? – rzucił brutalnie. – Nie potraktuj tego osobiście, ale wiesz... Od razu widać, że z nikczemnego rodu jesteś, rodzice chyba świnię pasali. Dziwię się, że ktoś ci w ogóle przydzielił tak zaszczytną placówkę.

– Dobry byłem. – Strażnik wydobył z gardła wyjątkowo nieprzyjemny zgrzyt. – Pokonałem pozostałych kandydatów w rekordowym tempie. Nie dałem im szans...

– Mnie i tak byś nie pokonał – wyjaśnił go Rycerz. – To przez szlachectwo, rozumiesz. Walkę trzeba po prostu mieć we krwi a nie tylko nauczyć się paru technicznych sztuczek.

Strażnik postanowił nie ciągnąć dalej tej dyskusji. Zaczynał bowiem czuć przemożną chęć przekonania się, czy arystokratyczne teorie Rycerza mają zastosowanie w praktyce. Niestety, Szlachetnie Urodzony mógłby się potem poskarżyć Księżciu Panu i Strażnik pożegnałby się z posadą. Zacisnął więc zęby i nie powiedział nic.

– No nic, nie przejmuj się – poradził mu Rycerz przychylnie. – Taki jest świat i już. Jako cham i prostak niewiele masz szans, pogódź się z tym po prostu. Zaakceptuj siebie samego takim, jakim jesteś...

Księżniczka nie wytrzymała, wychyliła się znowu z Wieży.

– Strażnik jest dużo bardziej rycerski, niż większość tych szlachetnie urodzonych przybyszów! – rzuciła, najwyraźniej chcąc dopiec Rycerzowi. – I w odróżnieniu od znakomitej większości z nich, wciąż jest jeszcze żywy! – zakończyła perfidnie.

Czarny popatrzył na nią, niewzruszony.

– Ale to i tak niewiele zmienia w twojej sytuacji, prawda? – powiedział spokojnie. – Starzejesz się, więdniesz w tej Wieży, a męża jak nie ma, tak nie ma. – Z satysfakcją popatrzył, jak spłoszona Księżniczka chowa się z powrotem, po czym, pewien, że wciąż słyszy, wypuścił zatrutą strzałę. – I tak wszyscy wokół już wiedzą, że masz pryszczel!

Zapanował ponura, przygnębiająca cisza.

– I nawet smok mnie nie chce zjeść! – zabiadolił Rycerz ponownie. – Pewnie dlatego, że taki przygłupi i niezgrabny, nawet dobrze latać nie potrafi... – pocieszył się.

Paskuda popatrzyła na niego z jawnym obrzydzeniem.

– Mniam bleeee! – oświadczyła, po czym podniosła się gwałtownie i pomaszerowała w kierunku jeziora.

Zanurzyła się w falach z sykiem, pochlipując pod nosem.

Zostali we dwóch.

– Fajny masz ten miecz – zauważył Rycerz, popatrując na broń Strażnika. – Dałbyś mi go? Pasuje mi pod kolor...

Ten wyciągnął miecz z pochwy jednym, sprawnym ruchem, po czym rzucił go Czarnemu pod nogi.

– A weź sobie – mruknął, najwyraźniej zaprzątnięty jakimiś ponurymi myślami.

Rycerz podniósł miecz, obejrzał, wykrzywił się z niesmakiem.

– Eeee, taki wyszczerbiony... – powiedział. – Ale już trudno, jak dajesz, to wezmę.

Wstał, powlókł się posępnym krokiem do konia.

– No, cóż – oznajmił, wsiadając. – Niech już i tak będzie, taki to mój przekłety los. Wrócę na obiad. Przynajmniej wyżałiłem się trochę... Ale powiem wam szczerze, we wspieraniu też nie jesteście najlepsi.

Rozejrzał się wokół triumfalnie, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Paskuda zniknęła gdzieś w jeziorze, Księżniczka nie wychylała się z okna, zaś Strażnik siedział po turecku na ziemi i z uwagą obserwował zrytą przez ostatnie wypadki trawę.

Czarny Rycerz zawrócił więc konia i pocwałował w las.

Dzień teoretycznie nadal był piękny. Słoneczko wciąż przygrzewało życzliwie, po lazurowym niebie zawzięcie mknęły białe cumulusy, zieleń zieleniła się, kwiaty kwitły a ptaszki śpiewały. Niby, wszystko było w jak najgorliwszym porządku.

I tylko nad mieszkańcami Wieży zawisła jakaś taka ołowiana, czarna chmura.

Interes

Tętent kopyt końskich narastał z oddali, budząc u wszystkich zrozumiałą nadzieję. Las przysłał widok, niemniej jednak co do tego charakterystycznego odgłosu nie sposób było się pomylić. Nadjeżdżał Rycerz.

Księżniczka natychmiast zakrzętnęła się po pokoju w poszukiwaniu świeżej chusteczki. Znalazszy takową, czym prędzej wychyliła się przez okno i zaczęła nią machać gorliwie.

Strażnik wyszedł ze swojej kwatery, stanął w rozkroku i majestatycznie wsparł obie ręce na potężnym, bogato rzeźbionym mieczu – najwyraźniej jednym z tych, które nie przypadły do smaku Paskudzie.

Jezioro zabalgotało, spod jego powierzchni wychynęła ciekawie para gadzich oczu.

– Schowaj się – mruknął Strażnik. – Zobaczysz cię i znowu zmarnujesz okazję...

– A właśnie, że niech popatrzy! – wystąpiła z obroną Księżniczka. – Jak widać rozumie nareszcie, że nie należy jeść byle czego...

Paskuda parsknęła, obrażona, po czym schowała się w głębinach. Po chwili tafla wody była znów nienagannie gładka.

Oczekiwany tak gorąco Rycerz wyłonił się wreszcie zza drzew. Jego widok wydarł Księżniczkę z piersi przeciągłe westchnienie, Strażnik natomiast zapalał gwałtowną chęcią mordy.

Rycerz był zabójczo przystojny.

Wysoka, strzelista, wyprostowana sylwetka prezentowała się w siodle bez zarzutu. Kłusował płynnie, z nienaganną gracją. Odrzucił hełm, co zapewne było znakiem niesłychanej odwagi, nie dobywał też miecza. Kruczoczarne, gęste włosy falowały na wietrze.

– Zapewne przybyłeś w mojej obronie! – wykrzyknęła Księżniczka, w zachwycie łamiąc konwenanse i odzywając się pierwsza. – Muszę cię jednak przestrzec...

– Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! – odkrzyknął Rycerz przyjemnym, głębokim głosem. – Tylko nie wołajcie smoka, jeszcze nie teraz!

Popatrzyli po sobie, po czym zerknęli ukradkiem na jezioro, zadziwieni. Paskuda jakby zrozumiała, nie wychyliła się na razie.

Rycerz docwałował do Wieży, po czym zgrabnie zeskoczył z konia. W jego ogromnych, ciemnych oczach, okolonych długimi, czarnymi rzęsami, błyszczało niekłamane podniecenie.

– W ogóle nie interesuje mnie Księżniczka! – obwieścił głośno i wyraźnie. – Zupełnie nie jest w moim guście. Mam do was interes...

Sponiewieraną w ten sposób kobiecie zakręciły się łyzy w oczach, za to Strażnik rozpromienił się natychmiast.

– Tak? – rzucił zachęcająco.

Rycerz podszedł do niego, z namaszczeniem podając mu dłoń.

– Jestem Gideford Anamirien Młodszy – powiedział. – Młodszy, jak słyszycie. Mój brat, Gideford Anamirien Starszy jest, oczywiście, władcą sąsiedniego Księstwa. Bardzo mu zatem zależy, żebym zawsze i wszędzie to "Młodszy" podkreślał. Nie powinno się nas mylić, z przyczyn politycznych...

– Oczywiście, oczywiście – przytaknął Strażnik gorliwie, ściskając mu palce z zapalem. – A o co konkretnie Waszej Wysokości chodzi?

Gideford Anamirien Młodszy spojrział na jego prawicę z wyraźną aprobatą.

– Mocny uścisk – pochwalił. – Widzę, że młodej damy strzegą najlepsi z najlepszych... – Zawiesił na Strażniku długie, nieco powłóczyście spojrzenie i ścisnął mu dłoń jeszcze raz, znacząco.

Ten odchrząknął z zakłopotaniem, cofając rękę.

– Czym możemy służyć Waszej Wysokości? – odezwała się lodowato Księżniczka z wysokości swojej Wieży.

Gideford Anamirien Młodszy zadarł głowę do góry, szacując ją dosyć beznamiętnym wzrokiem. Wreszcie pokiwał głową, jakby wynik oceny nie zadowalał go do końca, jednakowoż był wystarczająco pozytywny, by kontynuować grę.

– Mój brat jest, niestety, człowiekiem przeraźliwie tuzinkowym – westchnął. – Ubzdurał sobie, że powinienem się ożenić. Przeszkadza mu, zdaje się, mój swobodny i naturalny styl bycia. Posiadanie małżonki jest, jego zdaniem, jedynym remedium na obecny stan rzeczy, toteż nakazał mi znalezienie takowej. W przeciwnym wypadku osadzi mnie na pustelni.

Pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą.

– Nie ma to jak rodzina – westchnął znów. – W ogóle nie mam u nich żadnego wsparcia... – poskarżył się.

– A zatem? – przerwała mu Księżniczka dosyć brutalnie. – Nie widzę związku. Nie jestem, zdaje się, brana pod uwagę. A ten tu oto Strażnik jest na razie bardzo zajęty... – Nie mogła sobie odmówić drobnej złośliwości.

Gideford Anamirien Młodszy popatrzył na Strażnika z niejakim żalem, wziął się jednak w garść.

– Postanowiłem im uciec – oznajmił z emfazą. – Wraz z moim wiernym giermkim odjedziemy w świat. Tylko on i ja, my dwaj sami przeciw światu. I będę się nazywał Mirien Desdihado, tak, jak zawsze marzyłem...

– Życzę szczęścia – odparła zimno Księżniczka. – Ale co nam do tego?

– Nie puszczą mnie – stwierdził Rycerz. – Za duży skandal, sprawa polityczna itede... Nie znacie mojego brata. Wrodził się w ojca. A tata, jakby to powiedzieć, nie zawsze był wyrozumiałym, dobrym, kochającym...

– Tak, słyszało się to i owo – rzucił ostrożnie Strażnik. – W czym zatem możemy być pomocni?

Gideford Anamirien Młodszy spojrział na niego z wdzięcznością.

– Wiedziałem, że mnie zrozumiesz – szepnął. – Tak, możecie mi pomóc! – powiedział głośno. – Powiem bratu, że oto odnalazłem kobietę moich marzeń.

Przywiozę go tutaj. Oczywiście, każę mu się trzymać z daleka. Przecież jakby zobaczył tę damę, od razu by się zorientował, że to numer.

– Dziękuję – wysyczała Księżniczka przez zęby.

– Nie, żebym miał cokolwiek przeciwko twojej urodzie, o pani! – zreflektował się Gideford Anamirien Młodszy poniewczasie. – Po prostu brat zna mój gust, mógłby więc nabrać podejrzeń... – zaplątał się nieco, umilkł na chwilę, po czym kontynuował. – A wy namówicie tego swojego smoka, żeby mnie na jego oczach krwawo zamordował. Oczywiście, nie tak całkiem na śmierć. Smok jest tresowany, mam nadzieję? – Spojrzał na nich z wyraźnym niepokojem.

Zerknęli po sobie z ostentacyjnym powątpiewaniem.

– Może ją namówimy, żeby dała spokój... – mruknęła Księżniczka.

Strażnik pokiwał głową z namysłem.

– Jeżeli będzie miała motywację... – powiedział.

Popatrzyli na Rycerza z wyraźnym pytaniem w oczach.

Zrozumiał.

– O ile wiem, utrzymanie smoka robi się coraz bardziej kłopotliwe. – Rozpoczął pertraktacje. – Nie ma już, zdaje się, zbyt wielu śmiałków, gotowych na pożarcie. Coraz mniej rycerzy waży się bowiem na ten niebezpieczny krok. Oczywiście, sława twojej urody, o pani, jest powszechnie znana! – Zastrzegł się czym prędzej. – Jednakowoż, wieść o niebywałym okrucieństwie smoka zatacza równie szerokie kręgi. Toteż, jak się domyślam, możecie mieć niejakie problemy z utrzymaniem gadziny przy życiu...

Fachowo zawiesił głos, robiąc znaczącą pauzę, po czym rzucił:

– Proponuję stado tłustych, dobrze wypasionych krów. Zaraz po wykonaniu zlecenia.

– Trzy stada – rzuciła Księżniczka natychmiast. – Zapląta z góry.

Gideford Anamirien Młodszy pokręcił głową.

– Dwa stada, w tym jedno z góry – zaproponował z wyraźnym oporem.

– Dobrze – zgodził się Strażnik i wyciągnął do niego rękę, zanim przypomniał sobie, że bynajmniej nie miał ochoty na ponowny uścisk dłoni Rycerza.

Tamten jednak skwapliwie skorzystał z okazji. Pochwycił dłoń Strażnika oburącz i potrząsnął nią wielokrotnie, wyraźnie ucieszony.

– Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia – stwierdził z wymownym naciskiem.

– Pasiu! – zawołała Księżniczka. – Pozwól no tutaj...

Paskuda wychynęła z jeziora natychmiast, jakby tylko na to czekała. Na pewno podsłuchiwała całą rozmowę. Wyprostowała się i postarała wyglądać jak najokazalej.

Gideford Anamirien Młodszy popatrzył na nią i wyraźnie zbladł. Starał się nie dać niczego poznać po sobie, kolana jednak zdrząły mu w stopniu zastanawiającym.

– Duży ten wasz smok – rzucił słabo.

– Prawda? – Zarówno Strażnik, jak i Księżniczka popatrzyli na Paskudę czule. – Nie jest tak źle z tą aprowizacją...

– Ale dwa stada krów na pewno się przydadzą! – zasugerował z przekonaniem Rycerz. – Może więc...

– Pasiu, czy potrafiłabyś udać, że pożerasz pana rycerza, tak, żeby się nikt nie zorientował, że to lipa? – rzucił Strażnik, ignorując całkowicie jego wypowiedź. – Może przytopić go delikatnie albo co...

Paskuda sięgnęła ku Strażnikowi natychmiast, pochwyciła go paszczą, po czym wciągnęła pod wodę.

– Ale.. – zaprotestował Strażnik, po czym zabalgotał nazbyt niewyraźnie, by dało się cokolwiek zrozumieć.

Paskuda zanurkowała głęboko, po czym wychynęła w sobie tylko znanym miejscu. Położyła Strażnika delikatnie na brzegu pieczary. Ten zaczął kaszleć i parskać gwałtownie.

– Czyś ty oszalała! – zwrócił się do niej z głęboką pretensją w głosie, kiedy już mógł mówić.

Nagle urwał, rozejrzał się wokół.

Dookoła niego piętrzyły się stosy złota, srebra, klejnotów... Smoczy skarbiec migotał i skrzył się w magicznym świetle, dochodzącym nie wiadomo skąd.

Strażnik pokręcił głową, oszołomiony.

– A niech mnie... – wyszeptał, po czym dotknął ciekawie leżącej u jego stóp brylantowej kolii.

Natychmiast posłyszał ostrzegawcze i wyjątkowo pełne irytacji sapnięcie smoka.

– No co ty, Pasiu! – powiedział, porzucając skarb czym prędzej. – W życiu bym ci niczego nie zabrał, znasz mnie przecież. Jesteśmy przyjaciółmi, takich rzeczy się nie robi...

Paskuda uspokoiła się nieco, wciąż jednak łypała na niego nieufnie.

– No dobrze, ale po co mnie tu przyprowadziłaś? – Postarał się zmienić temat jak najrychlej. – Chcesz się pochwalić, jaka jesteś bogata, super. Mamy ci za to kupić trochę krów?

Gadzie oczy popatrzyły na niego z wyraźną pogardą.

– Aaaa, już łapię... – mruknął Strażnik z niejakim podziwem. – Chcesz go tutaj przeszmułować, żeby myśleli, że utonął... A po jakimś czasie odstawisz go z powrotem.

Paskuda pokiwała głową, wyraźnie ucieszona.

– To nie jest dobry pomysł, Pasiu – orzekł Strażnik zdecydowanie. – Pomyśl, przecież w ogóle go nie znasz. I chcesz mu pokazać swój skarb? Ja, to co innego, na pewno nikomu ani mru mru, rozumiesz. Ale o nim nic nie wiemy. A nuż wróci tu z całą armią i rozkopie pół jeziora, żeby dorwać się do twoich pieniędzy?

Paskuda ponuro zwiesiła głowę i westchnęła ciężko, przekonana.

– Nie znasz może jakiegoś innego miejsca? – poddał Strażnik zachęcająco. – Też taka grota, tylko bez... – zabalgotał znów, bowiem Paskuda porwała go natychmiast, ponownie wciągając pod wodę.

W międzyczasie Księżniczka i Gideford Anamirien Młodszy popatrywali po sobie, zszokowani. Paskuda i Strażnik zniknęli w odmętach, wzburzona tafla wody

uspokajała się powoli. Nagle Księżniczka zaczęła głośno, spazmatycznie szlochać. Nawet Rycerzowi zakręciły się delikatne łezki w oczach. Ten Strażnik był taki przystojny...

Woda zabulgotała znów, Paskuda złożyła delikatnie Strażnika na brzegu. Ten poprychał i pokaszłał chwilę, po czym usiadł i oznajmił z zadowoleniem:

– Proszę państwa, dobrze jest!

Oboje natychmiast ukradkiem otarli oczy, po czym spojrzeli na niego pytająco.

– Paskuda ma tam taką podwodną grootę – wyjaśnił Strażnik. – Porwie Rycerza i przetrzyma tam jakiś czas, aż wszyscy uznają, że pożarła go w głębinach i sprawa przycichnie nieco.

– No, nie wiem... – pokręcił głową Gideford Anamirien Młodszy. – To może być niebezpieczne...

– Życie jest niebezpieczne – oznajmił filozoficznie Strażnik, dając godzinie dyskretny znak ręką. – Zresztą, zobacz sam.

Paskuda porwała Rycerza jednym, sprawnym kłapnięciem, po czym wciągnęła go w falujące odmęty.

Gideford Anamirien Starszy popatrywał na swojego młodszego brata z wyraźnym powątpiewaniem.

– Czy na pewno nie było w okolicy łatwiej dostępnych Księżniczek? – rzucił niechętnie.

– Przyszła Księżna Gidefordowa Anamirienowa Młodsza nie może być łatwa! – odparował mu brat zdecydowanie. – Zresztą, miłość nie wybiera!

Dotarli do skraju lasu, zatrzymali się. Władczym gestem dłoni Księżę rozkazał wycofać się konwojującym ich strażnikom. Usłuchali natychmiast.

Bracia wyjechali ostrożnie zza linii drzew. Księżniczka uśmiechała się do nich zachęcająco, powiewając z okna Wieży olśniewająco czystą, białą chusteczką.

– Oto i moje przeznaczenie! – oznajmił Gideford Anamirien Młodszy z emfazą. – Nie jedź dalej, bracie, to może być niebezpieczne, a ze względu na dobro Księżstwa nie możesz przecież narażać swojej drogocennej osoby. Wnet pokonam smoka i powrócę tu do ciebie z piękną narzeczoną...

Gideford Anamirien Starszy pokiwał głową, zgadzając się. Tak czy owak, wkrótce skończą się kłopoty z tym jego cholernym, utrapionym braciszkiem. W ten czy w inny sposób, ale się skończą.

– Uratuję cię, o pani! – zakrzyknął Gideford Anamirien Młodszy, zrywając konia do skoku.

Pocwałował w dół, ku Wieży, unosząc do góry swój drogocenny, rodowy miecz. Księżniczka machała chusteczką z niesłabnącym zapałem. Poza nią nikogo najwyraźniej nie było w pobliżu.

Rycerz był już całkiem blisko Wieży, gdy spokojna dotąd toń jeziora wzburzyła się i zafalowała.

Z wody wyłonił się najpaskudniejszy potwór, jakiego Gidefordowi Anamirienowi Starszemu zdarzyło się kiedykolwiek oglądać. Księżę zadrzał ze zgrozą.

Szybkimi uderzeniami skrzydeł gad wzbił się ponad Wieżę, zastygając na chwilę w powietrzu na tle zachodzącego słońca. Przez ułamek sekundy scena wyglądała niesłychanie poetycznie i malowniczo... Zaraz jednak potwór zapikował w dół, by z wyjątkowo niepoetycznym chrupnięciem porwać jeźdźca z konia i błyskawicznym rzutem zanurzyć się wraz z ofiarą w odmętach. Woda zadrżała i uspokoiła się niemalże natychmiast. Wszystko wokół zastygło w bezruchu i tylko ogłupiały koń błakał się pod Wieżą bez celu, co i rusz kwicząc żałośnie.

No to pięknie. Mam gówniarza z głowy, pomyślał Gideford Anamirien Starszy... nie, teraz już tylko Gideford Anamirien.

Popatrzył w dół na Księżniczkę, która ostentacyjnie szlochała, ocierając łzy olśniewająco białą chusteczką. Gideford Anamirien zdjął z głowy hełm, zdobiony pawimi piórami. Skłonił się jej eleganckim, zamaszystym gestem, po czym spokojnie zawrócił konia i powrócił do swego orszaku.

Mirien Desdihado grzał się przy naprędce przygotowanym przez Strażnika ognisku, kichając co jakiś czas. Konstrukcja stosu pozostawiała wiele do życzenia, Strażnik popatrywał na ogień z niezadowoleniem. Któż mógł jednak przewidzieć, że Książętko po paru kroplach wody przeziębii się w samym środku lata i trzeba będzie improwizować ognisko z okolicznych krzaków. Było to wszakże jedyne wyjście, za nic bowiem Strażnik nie zaprosiłby Rycerza do swojej kwatery.

– Powinien już tu być. – Rycerz co chwila rzucał niespokojne spojrzenia poza krąg światła. – Niemożliwe, żeby mnie tu tak zostawił...

Księżniczka ziewnęła, wsparta łokciem o parapet okna. Miała już serdecznie dosyć całej tej historii i nie mogła się doczekać chwili, kiedy przystojny Desdihado ich opuści.

Była już bardzo późna noc, kiedy nareszcie usłyszeli powolne człapanie muła i niespieszne szuranie nogami giermka.

Rycerz przysypiał już, poderwał się jednak natychmiast. Giermek z mułem wkroczyli w migotliwy blask dogasającego ogniska.

– No, jesteś nareszcie! – powiedział Mirien Desdihado z wyraźnym wyrzutem. – Ile ja się tu naczekałem...

– Ano, panie – odparł tamten, niewzruszony. – Się trzeba było pożegnać ze wszystkimi, nie? To i się trochę zeszło...

– Nic to – rzucił Rycerz zdecydowanie. – Jedziemy. Tylko my dwaj, naprzeciw całemu światu!

– Ano. – Pokiwał głową giermek. – No to jedźmy. – Rozejrzał się wokół bez specjalnego entuzjazmu.

Mirien Desdihado pobiegł do konia, czekającego w krzakach. Strażnik zawahał się chwilę, po czym podążył za nim.

Rycerz spojrział na niego i rozpromienił się.

– Miałem nadzieję, że przyjdiesz się pożegnać... – wyszeptał, ujmując jego dłoń i przyciskając do piersi. – Jakże ja ci się odwzięczę?

– Stada są w porządku, Paskuda już się cieszy... – odparł wymijająco Strażnik, po czym przełamał się i wypalił wreszcie: – Jak zostaje się Rycerzem?

– Takim, jak ja? – Uśmiechnął się z wyższością Mirien Desdihado. – To się trzeba urodzić!

– A jeżeli ktoś się nie urodził... – rzucił słabo Strażnik. – To ma jakieś szanse?

Rycerz pomyślał przez chwilę, puszczać rękę Strażnika i drapiąc się po brodzie, po czym rozpromienił się jeszcze bardziej.

– Mógłbym cię wziąć na giermka – zaproponował, klepiąc go czule po ramieniu. – Ten, którego mam teraz, jest trochę mało zaangażowany, niestety. Ty za to nadawałbyś się dużo lepiej. Bylibyśmy razem, ty i ja, przeciw całemu światu! A kiedy już dokonalibyśmy wielu wspaniałych czynów, i służyłbyś mi wiernie... – Tu zawiesił na nim znaczące spojrzenie. – Mógłbyś wtedy zostać uszlachcony i pasowany na rycerza. A co, chciałbyś? – zapytał z wyraźną nadzieją w głosie.

Strażnik wycofał się natychmiast.

– Nie, skądże – powiedział, niemalże oschłym tonem. – Tak tylko pytałem. Z ciekawości.

Rycerz posmutniał.

– No, trudno – westchnął z wyraźnym rozczarowaniem.

Wskoczył na konia jednym, zgrabnym ruchem.

– Żegnajcie, moi mili! – zakrzyknął, najwyraźniej nie bardzo dbając już o konspirację. – Witaj, Świecie! Witaj, Przygodo!

Spiął konia, by ten zamachał w powietrzu przednimi kopytami, po czym pogalopował przez krzaki. Giermek westchnął, dosiadł muła i flegmatycznie podreptał za swoim panem.

– Witaj, śnie – orzekła Księżniczka z przekąsem, rozcierając zdrętwiały łokieć.

– Nie jest źle – powiedział Strażnik, zadzierając ku niej głowę. – Mamy spokój na jakiś czas. No i Pasia ma co jeść...

Paskuda zabulgotała z jeziora w jego kierunku, tym razem wyjątkowo pochlebnie.

– Muszę jednak przyzwyczać się do myśli pozostania dziewicą do końca swoich dni – rzuciła jeszcze Księżniczka, po czym zniknęła w głębi swojego pokoju.

Strażnik popatrzył w jej okno z namysłem.

Czy to może jednak była jakaś aluzja? – zastanowił się.

W końcu poddał się, wzruszył ramionami i powędrował do swojej kwatery. Rozebrał się, położył na łóżku i wbił oczy w sufit. Pewne pytanie wciąż kłębiło mu się pod czaszką i nie dawało spać.

Świt

Nie mogę zasnąć. Nic a nic.

Leżę na łóżku i przewracam się z boku na bok.

Na łóżku – to trochę za dużo powiedziane. Ot, zwykły materac położony na betonowej podłodze. Cabaña – drewniana chatka, kryta palmowymi liśćmi – nie oferuje specjalnych wygod. Dlatego właśnie wybraliśmy dziś taki nocleg: bez prądu, wody i pozostałych znamion cywilizacji, mały domek, zagubiony na plaży Morza Karaibskiego. My, mieszkańcy, już przy czymś takim odczuwamy posmak prawdziwej przygody.

Moi współtowarzysze śpią mocno, zmęczeni wrażeniami. Szum wody, miarowo spływającej po palmowym dachu, ukołysał ich błyskawicznie. Jest maj, właśnie zaczyna się pora deszczowa. Krople padają gęsto, na betonowej podłodze przed drzwiami zgromadziła się już spora kałuża.

Przewracam się z boku na bok. Toczę wewnętrzną wojnę, którą co i rusz przegrywam, odwracając bezsilnie głowę w kierunku plecaka. Tam schowałam komórkę.

Czekam na jedną jedyną odpowiedź, wbrew sobie, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, przecież wiem, że i tak ten SMS nie nadejdzie. Ale jednak czekam.

I myślę wciąż o... nim. Nic na to nie potrafię poradzić.

A przecież wyjechałam, by zapomnieć. Skończyć, zniszczyć, wyrwać z serca, wypalić do cna. Nie odzywać się. Być ponad to. Udawać, że mnie wcale nie obchodzi. Nic a nic.

Przez pierwszy tydzień całkiem dobrze mi szło. Meksyk, kraj pełen kontrastów, piekło i raj, tyle miał do zaoferowania. Natłok nowych wrażeń przytłumił trochę ten wciąż ćmiący, nieustępliwy ból. Tak, całkiem dobrze mi szło. Już prawie w ogóle nie czekałam na chociażby jeden SMS od niego... Chociażby jedno słowo, jeden gest, jeden znak... Że jednak mu zależy, że jednak... Nie, nie czekałam, nie myślałam, codziennie, bez wytchnienia, z rozpaczą schowaną głęboko na dnie. Nie pisałam, nie dzwoniłam. Doskonale potrafiłam istnieć bez niego, powtarzałam to sobie na każdym kroku. Uśmiechałam się, zachwycałam nowym otoczeniem. Nikt ze znajomych nie zauważył u mnie nawet śladu cierpienia, tak dobrze mi szło udawanie.

Do czasu. Aż przyszedł strach. Właśnie tutaj, w Tulum, na brzegu Morza Karaibskiego.

Leżę w łóżku i przewracam się z boku na bok.

Nerwowymi ruchami szarpie wisiorów na szyi. Ot, taki tam, malachitowy krążek z wyrzeźbionym kalendarzem Azteków. Kupiłam go dziś na bazarze za czterdzieści pesos. A teraz międlę go w dłoniach w poszukiwaniu jakiegokolwiek ulgi. Byłe czymś zając ręce, byłe tylko doczekać do świtu... albo zasnąć.

Ciało mam nabrzmiąle wodą, spuchnięte, ociążałe. Zespół napięcia przedmiesiączkowego, tylko dlaczego to trwa aż tak długo. Spokojnie, to tylko zmiana klimatu. Normalka. Już za chwileczkę, już za momencik nadejdzie okres. I zaraz będę znów rozbrykana, wesoła, szczęśliwa. Tylko trzeba przetrwać, doczekać. Tylko tyle.

Kolejne niecierpliwe spojrzenie w kierunku komórki. Tutaj jest środek nocy ale w domu jest siedem godzin później, już dzień. Mógłby już odpisać... gdyby chciał.

Dzisiaj po południu nie wytrzymałam, niestety. „Może jestem w ciąży. Martwię się. Odezwij się, proszę.” – pękłam SMSem.

Jak dotąd, nawet nie raczył odpowiedzieć. A mógłby już dawno odpisać... gdyby chciał.

No cóż, kochana. Najwyraźniej nie chce, przyjmij to do wiadomości. Albo po prostu jest już z nią i nawet nie zamierza rzucić głupiego „przepraszam”. Zdrajca. Podły zdrajca. No cóż, kochana. *Don't dream, it's over*. Przestań bezsensownie czekać, nie warto. A najlepiej to zaśnij wreszcie.

Szmer deszczu nasila się. Światło błyskawicy przedziera się przez szpary pomiędzy deskami, gdzieś z oddali dobiega narastający grzmot, oto tropikalna burza. To jest to, smak prawdziwej przygody.

Przewracam się z boku na bok, wzdychając niecierpliwie i spoglądając co chwila w kierunku komórki.

Grzmoty stają się coraz częstsze, coraz głośniejsze, burza jest coraz bliżej. Nagle siadam na łóżku. Ze zdziwieniem wsłuchuję się w noc.

Pomiędzy grzmotami rozróżniam jakiś rytmiczny, niepokojący ton.

Bębny.

Tak, słyszę je wyraźnie. Ich dźwięk to wznosi się, to opada, ani na chwile nie gubiąc rytmu, jakby wciąż powtarzając jakąś wiadomość. Nie rozumiem jej, a mimo to zaczynam się bać.

Do bębnów dołącza się daleki, ledwie uchwytny dźwięk konchy. Pomimo upału przeszywa mnie dreszcz.

Nagle dopada mnie lekki zawrót głowy a po chwili już zaczynam widzieć inaczej, patrzeć inaczej, zaczynam rozumieć. Ten dźwięk... to jest wezwanie.

Chodź.

Wstaję więc, wolnym krokiem podchodzę do drzwi. Krótki zgrzyt skobla i oto jestem na dworze.

W krótkich migawkach błyskawic widzę, jak palmy wokół uginają swe pióropusze pod bezlitosnymi smagnięciami wiatru.

Idę na plażę, coraz spieszniejszym krokiem. Spienione morze podąża na spotkanie moich stóp. A ja, niczym zahipnotyzowana, odwracam głowę w bok, na północ, i spoglądam na sterczące na klifie ruiny.

To tam. Stamtąd pochodzi Zew.

Zaczynam biec. Słona woda rozpryskuje mi się spod nóg. Strumienie deszczu omywają mnie całą, wiatr rzuca dziesiątki kropel prosto w twarz. Biegnę jednak co sił, nie czując zmęczenia, jak we śnie.

Błyskawice co chwilę rozświetlają głębokie ciemności. Gdyby nie te przebliski, nie widziałabym nawet własnej ręki. Czarne chmury zasnuły niebo całkowicie, nie ma księżyca ani gwiazd.

Dopadam wreszcie stromych, ostrych skał. Próbuję się na nie wdrapać, jednak są zbyt śliskie. Po kilku niezdarnych chwytach, zjeżdżam bezradnie w dół.

Nie szkodzi. Nie tak, to inaczej. Odpowiem na Wezwanie, nie poddam się.

Wbiegam do morza.

Płynę przed siebie, walcząc zaciekle z falami. Potem zwrot w lewo, ku zatoczce. Boję się, bardzo się boję. W każdej chwili wzburzona woda może mną cisnąć o skały. Pomimo to, płynę dalej. Aż wreszcie wychodzę na piasek zatoczki, słaniając się na nogach ze zmęczenia.

Wokół mnie ruiny Zamy, miasta Majów.

„Zama” znaczy „świt”, „w kierunku świtu”. Tej nocy trudno mi uwierzyć, że coś takiego, jak świt w ogóle istnieje. Ta noc jest przepojona ciemnością. Migotanie błyskawic dodaje jej trochę światła... ale to światło lampy stroboskopowej, niosące tylko niepokój zamiast otuchy.

Bębny łomoczą wokół mnie, konchy wspomagają je swym rykiem. Coraz potężniejszy jest Zew.

Odwracam się w prawo, wdrapuję na górę.

Przede mną świątynia o kształcie ustawionego pionowo walca. Szereg wyciosanych w nim stopni prowadzi do prostokątnego budynku ołtarza. Już wiem, już poznaję. Owalną podstawę świątyni ma tylko jeden bóg, wiatr wiejący ze wszystkich stron.

Ehécatl, Pan Życiodajnego Wiatru, odbiera tu swoją cześć. To jedna z wielu twarzy Kukulcána, zwanego przez Azteków Quetzalcoatlem, Upierzonym Wężem, najwyższym Władcą wszelkiego stworzenia.

Wchodzę po stopniach, po twarzy płyną mi łzy. Pan przestworzy, oto mój bóg. Jego rozumiem najlepiej, powietrze jest moim ukochanym żywiołem.

Docieram wreszcie do ołtarza. Staję przed nim, unoszę w górę twarz, ku niebu.

– Czego pragniesz? – pyta mnie świszczący dookoła wiatr.

Wybucham niepohamowanym płaczem.

– Daj mi serce tego mężczyzny, o Panie! – krzyczę, w rozpaczliwym zapamiętaniu, zaciskając dłonie w pięści. – Daj mi jego serce, proszę!

Błyskawica rozdziera niebo na pół. Przerażliwy grzmot rozlega się dookoła. Świat wiruje, obrazy przed moimi oczami nakładają się na siebie, drzewa i kamienie to wydają się całkowicie przezroczyste, to znów nadrealnie ostre... Aztecki talizman na mojej szyi drga i podskakuje, wzywając pradawną moc i łącząc teraźniejszość z przeszłością.

Stoję przed kamiennym ołtarzem. W obu dłoniach ściskam malachitową rękojeść obsydianowego noża.

Na stromych schodach świątyni stoją półnaczy ludzie różnych ras. Wyglądają na niezupełnie rozbudzonych, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jakby

odpowiedzieli na Zew i przybyli tutaj na wpół świadomi, nie do końca pojmując, jaka jest ich rola w tej ceremonii.

Stoję na szczycie świątynnych schodów. Malachitowy amulet jarzy się na mojej piersi delikatną, seledynową poświatą.

On – on! – leży na ołtarzu, skrzepowany, nagi. Jego wzrok wbija się we mnie w pełnym zdumienia niedowierzaniu. Czyżby ktoś, ktokolwiek, zapragnąłby – ośmieliłby się! – go skrzywdzić? Celowo? Z pełną premedytacją?

Znam ten wyraz twarzy, grałam już kiedyś w tej scenie i to niejedną raz. Dokładnie takie same były moje oczy w lustrze, pełne łez. To przez niego wylałam ich tyle... A on nie miał wtedy dla mnie ani trochę litości, nic a nic.

Czuję, jak narasta we mnie wściekły, nieokiełznany gniew: dojmująca, prymitywna furia.

Unoszę do góry kamienny nóż.

Mężczyzna zaczyna krzyczeć, ze strachem, z rozpaczą, a jednocześnie z całkowitą niewiarą w to, co się dzieje. Wtedy nóż w moich rękach opada na jego klatkę piersiową, gruchocząc żebra, przecinając skórę i mięśnie z niewiarygodną siłą. Mężczyzna szamocze się jak oszalały, wciąż krzycząc, jego krew spływa strugami na ołtarz ofiarny, cieknie na kamienną podłogę. Krótkie szarpnięcie i oto zerwana ściana z mięśni i kości odsłania łomoczące serce. Delikatne, precyzyjne cięcie, wycieka strużka płynu osierdziowego i serce – jego serce! – już jest na wierzchu. A teraz kulminacja, bębny przyspieszają swój rytm do granic możliwości, konchy ryczą, niczym oszalałe. Nóż ślizga się we krwi, rozpruwając wielkie naczynia, żyły główne: górną i dolną, pień płucny, aortę. Przekładam nóż do lewej dłoni, po czym jednym, silnym, zdecydowanym ruchem prawej ręki wyrywam serce z klatki piersiowej. Podnoszę je do góry, podążając za nim zachwyconym wzrokiem. Oto nareszcie mam to, czego od dawna tak gorąco pragnęłam.

Jego serce.

On nie krzyczy już. Docenia właśnie mój wspaniałomyślny gest.

Zginał zaszczytną śmiercią na ołtarzu i dzięki temu będzie po wieczność wędrował z bogami. Mictlantecihuatl, Pani Umarłych, nie pożre jego duszy, jak to czyni z tymi, którzy odeszli gnuśnie w łóżku, marnotrawiąc dar życia. Chwalebna śmierć w boju lub na ołtarzu – oto, dla czego warto żyć.

Taka jest naturalna kolej rzeczy. Niczym ziarna kukurydzy, rzucone w ziemię na zatracenie, by odrodzić się nowym plonem, tak i ludzie przez swoją śmierć rozpoczynają nowe życie. Zaś ich krew, spływająca po stopniach świątyni, pozwala światu odradzać się ponownie i trwać jeszcze przez chwilę, aż do kolejnej ofiary.

Bogowie swoją własną krwią tchnęli życie w ten świat i dlatego też potrzebuje on wciąż i wciąż tego życiodajnego płynu, by móc dalej istnieć. Inaczej wszystkich nas czeka niechybna zagłada.

A teraz ja zwracam im część tego daru, znacząc stopnie świątyni krwią mojego byłego kochanka. Uwalniam Świt.

Czerwony płyn płynie w dół i w dół, wsiąka w szczeliny między kamieniami. Ściany świątyni bieleją a potem pokrywają się boską czerwienią, zwietrzałe kamienie

znów stają się lśniące i gładkie. Fala odnowienia rozbiega się po mieście, budynki prostują się z upadku, ich postrzępione ściany nabierają z powrotem chłodnej elegancji. Tu i ówdzie zaczynają płonąć ogniska. Zama odradza się.

Bębny i konchy milkną nagle. Morze uspokaja się natychmiast, wiatr cichnie, błyskawice przestają rozdzierać niebo. Chmury uciekają, na niebie zaczynają migotać gwiazdy. Nie ma księżyca, ale to przecież nów.

Matka Ziemia odżywa, napojona boskim płynem. Świat został ocalony jeszcze raz. Na jakiś czas – aż do następnej ofiary.

Ludzie, stojący dotąd w somnambulicznym bezruchu, odwracają ku mnie głowy i patrzą z bezmierną ulgą na znieruchomiłe już serce, ściskane w mojej uniesionej dłoni. Jednogłośnie wydają radosny, pełen zrozumienia okrzyk. Rzucam więc nóż na martwe ciało, rozpostarte przede mną na ołtarzu, a potem zdecydowanym pchnięciem strącam je z chłodnego, gładkiego kamienia. Trup toczy się po stopniach w dół, by wreszcie zalec bezwładnie u stóp świątyni. Ludzie zbiegają ku niemu, ściskając w dłoniach obsydianowe noże, takie same, jak mój, a potem energicznie rozdzielają ciało na części. Za chwilę rozpocznie się święta uczta.

Schodzę ze stopni świątyni powolnym krokiem. Jestem zmęczona, jestem tak bardzo zmęczona...

Zostawiam za sobą rozświetlone mury zmartwychwstałego na chwilę miasta i rozśpiewanych szczęściem ludzi. Idę do morza, zanurzam się w nim. Sunę powoli przez gładką tafelę wody, czując, jak narasta we mnie poczucie nieopisanej ulgi. Gdzieś po drodze rozwieram palce, serce opada w głębiny. Na nic mi ono, już mi niepotrzebne przecież. Już nie.

Jestem wolna. I ocalona.

Nadchodzi świt.

Budzę się nagle, siadam na materacu, rozpostartym na betonowej podłodze. Wokół mnie ożywione głosy przyjaciół.

– Słyszałaś? Maciek nie żyje! – oznajmia wzburzona Ela, widząc, że wstałam. – Umarł przed paroma godzinami, zdaje się, że na zawał... To straszne! Tak niespodziewanie! I to na dodatek w tak młodym wieku!

Przybieram poruszony, przejęty wyraz twarzy. Ale w środku nie czuję nic. Nic a nic. Pusto. Jakbym go nie znała nigdy. Jakby pomiędzy nami nigdy nic nie było. Nigdy, nic.

Wstaję, wychodzę z cabańi, idę w kierunku baños, czyli tutejszej imitacji łazienek. Myję zęby, opłukuję twarz... I nagle czuję, jak po moich udach spływają pierwsze krople gęstej, ciemnoczerwonej, miesięcznej krwi.

Uśmiecham się.

Powolnym, spacerowym krokiem idę na plażę. Tam siadam na piasku, opierając się plecami o smukły pień palmy kokosowej. Zachwyconym wzrokiem wodzę po okolicy.

Morze faluje przepięknym, lazurowym kolorem. Miałki piasek lśni najczystsza bielą. Palmy wdzięcznie stroszą swoje zielone pióropusze. Wielobarwne ptaki

przekrzykują się wesoło. Kraby wędrują po plaży, naprawiając swe norki, spustoszone przez burzę.

Słońce błogosławi nas wszystkich, spoglądając z uśmiechem z góry.

A ja, jak Matka Ziemia, odżywam wraz z krwią.

Zbójcy

Zbójcy byli profesjonalistami.

Przynajmniej na początku wszystko robili nad wyraz profesjonalnie.

Zręcznie zarzucone kotwiczki z przywiązanymi do nich linami trafiły prosto w oba najwyższe okna Wieży. Zaraz potem cztery czarno odziane postacie zaczęły się wspinać po murze. Akcja przeprowadzona była w niemalże całkowitej ciszy, dzięki czemu Strażnik nie otworzył nawet oka. Paskuda również.

Ze względu na panujące ostatnio niemilosierne upały, Księżniczka nie zamykała na noc okiennic. Zbójcy więc bez przeszkód wtargnęli do jej komnaty. Otoczyli bogato rzeźbione łoże i pochylili się nad śpiącą niewiastą, błyskając groźnie nagimi ostrzami mieczy. Po chwili wahania, jeden z nich pochylił się i trącił placem krągłe ramię obleczone w batyst koszulki.

Księżniczka zamrugła niechętnie, przewróciła się na wznak, otworzyła oczy... i krzyknęła na cały głos.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość – rzekł zbójca uprzejmie.

Księżniczka nie wyartykułowała żadnej odpowiedzi. Po prostu wrzeszczała nadal, głośno i dosyć nieskładnie.

Zaalarmowany krzykiem Strażnik poderwał się z łóżka natychmiast. Chwycił pierwszy lepszy miecz z kolekcji i popędził schodami na górę. Pod drzwiami uprzytomnił sobie, że nie wziął kluczy. Zawrócił więc pośpiesznie, łomocząc bosymi stopami w drewniane stopnie.

W tym czasie jeden ze zbójców podszedł do drzwi i zaczął upychać jakieś sprytnie pomyślane kawałki drutu w dziurce od klucza. Dwóch jego kamratów przesunęło się pod okna, trzymając broń w pogotowiu i wspierając się plecami o ściany tuż obok otworów. Ten po prawej wyrżał szybko, jakby wypatrując kogoś w pobliskim lesie. Dostrzegł go chyba, bo kilkukrotnie zamachał ręką. Cofnął się zaraz potem i znowu przywarł do ściany.

Księżniczka urwała krzyk dosyć gwałtownie. Rozejrzała się wokół, jakby zdziwiona, że nie przyniósł on żadnego efektu

– Ooo, tak lepiej. – Pokiwał głową ten ze zbójców, który wciąż tkwił przy niej. – I zdrowiej dla nas wszystkich, to na pewno.

Kroki Strażnika znów załomotały na schodach. Zamek u drzwi zazgrzytał, zapewne Strażnik usiłował włożyć weń klucz.

– Lepiej przestań – poradził mu zbój, pilnujący drzwi. – Popsujesz zamek. A jakby ci się nawet udało otworzyć, wtedy od razu ją zabijemy. Wiesz, kogo. Ją.

Zgrzytanie ustało natychmiast.

– Jesteśmy Frontem Wolności – oznajmił ten, który stał przy Księżniczce. – Nasza organizacja jest ściśle tajna oraz podziemna. Oczywiście, nie podamy wam naszych prawdziwych imion. Do mnie będziecie mówić Pierwszy. Jasne?

Księżniczka pokiwała głową z wyjątkowo ogłupiałą, zdumioną miną.

Strażnik nie odpowiedział.

– Ej, ty tam, za drzwiami! – Pierwszy podniósł nieco głos. – Jasne? To potwierdź i to już. I nie udawaj, że nie słyszysz. Tu na pewno dobrze słysząc. Inaczej po co byś przyłaził co wieczór, podsłuchiwać, co ona tu gada do siebie? – rzucił triumfalnie. – Tak, tak, zrobiliśmy rozpoznanie, a co – pochwalił się. – Jesteśmy w pełni profesjonalni!

Strażnik odburknął coś wściekle a Księżniczka uśmiechnęła się pod nosem, pomimo dławiącego ją strachu. Przychodził do niej, no proszę....

– No więc jak, słysząc, czy nie? – indagował Pierwszy nieustępliwie.

– Słyyytać – potwierdził w końcu Strażnik tonem pełnym głębokiego niezadowolenia.

– Dobrze! – Uśmiechnął się zbójca. – To teraz dalej. Ten przy drzwiach to Drugi.

– Ale to ja jestem Drugi! – zaprotestował zbójca spod okna oburzonym tonem. – Ustalaliśmy przecież...

– Zamknij się! – odparował ten spod drzwi natychmiast. – Eron mówi, że jestem Drugi, to jestem. Ty możesz być Trzeci...

– Jestem tu dłużej od ciebie! – Nie dawał za wygraną tamten. – Należy mi się lepsza cyfra! Eron, powiedz mu, przecież sam mówiłeś...

– Zaraz obaj będziecie Trzeci! – zapienił się Pierwszy, zwany też Eronem. – I nie mówcie do mnie po imieniu!

– Ja przynajmniej wiem na pewno, że jestem Czwarty. Ale mi to nie przeszkadza – oznajmił pogodnie zbójca przy toalecie. – Ja tam się nie pcham, poczekam na swoją kolej...

– To w końcu kto jest Drugi? – pieklił się zbójca spod drzwi. – Nie możemy być obaj Trzeci, i Alik i ja. To nie będzie sprawiedliwie no i zaszkodzi przy organizacji... Będzie się myliło co chwile.

Zbój spod okna demonstracyjnie opuścił miecz i oparł ostrze o podłogę. Wyjrzał za okno, pogwizdując pod nosem.

– Alik jest Drugi – rozstrzygnął Eron zdecydowanie. – Ma rację, jest dłużej.

Alik natychmiast rozjaśnił się w szerokim uśmiechu, podniósł miecz i z powrotem jak najbardziej profesjonalnie przywarł plecami do ściany.

Zbójca pod drzwiami obrzucił go wściekłym, zazdrosnym spojrzeniem.

– Nie generuj kłopotów, Rosz. – Eron postanowił uprzedzić jakikolwiek komentarz. – Trzecie miejsce to też medalowa pozycja... – spróbował go udobruchać choć troszkę.

Rosz westchnął, po czym popatrzył na przywódcę i z wyraźnym oporem pokiwał głową.

– No dobrze – poddał się niechętnie.

– Ale do mnie nie powiecie po imieniu, co? – rzucił niedbale Czwarty. – Chociaż tyle jesteście mi winni za umieszczenie mnie na szarym końcu...

– Dobrze, Zen – zgodził się Eron, zadowolony, że przynajmniej ten nie zgłasza pretensji w temacie hierarchii. – Nie powiemy.

– I by było tyle. – Pokręcił głową zde gustowany Zen i odwrócił się do okna. – Dzięki za konspirację, Eron.

Pierwszy zbójca wykrzywił się i uderzył się dłonią w czoło.

– Jak tam smok? – zapytał szybko, pokrywając zmieszanie. – Śpi?

Elik i Zen wyjrzeni przez okna.

– Śpi. – Pokiwali zgodnie głowami.

– Paaasiuuu! – rozwrzeszczała się natychmiast Księżniczka, przypominając sobie ponieważ o swoim głównym obrońcy. – Paaasiuuu!

Jeziro zafalowało dosyć niemrawo w odpowiedzi. Powierzchnia wody zafalowała, uniosła się nieco, aż wreszcie rozstała się z pluskiem przed dźwigającym się leniwie ciałem smoka.

– Mniam? – zachrypiała Paskuda, rozglądając się wokół pytająco i mrugając zaspanymi ślepiami.

– Tuuutaaaj! – zawołała Księżniczka, zrywając się z łóżka i biegnąc ku oknu. – U mnie w Wieży! Bandyci! Ratunku!

Eron pochwycił ją wpół, powlókł z powrotem do łóżka i posadził na wymiętej pościeli.

– Nic z tego – oznajmił zdecydowanie. – Najpierw nasze warunki. Uspokój smoka, bo... – zawiesił głos znacząco.

– Jeżeli Księżniczce spadnie chociaż włos z głowy... – zapienił się za drzwiami Strażnik – nie znajdziecie miejsca na tej ziemi, gdzie moglibyście się ukryć przede mną! Czarni Mściciele to przedszkole w porównaniu z tym, co ja wam zrobię! Spróbujcie ją tknąć choćby palcem!

Zbójcy przyjrzeni się swojej brance dość krytycznie. Zarumieniła się wstydliwie pod ich szacującymi spojrzeniami. Mężczyźni popatrzyli po sobie pytająco i jednocześnie z lekka pokręcili głowami.

– Nic jej z naszej strony nie grozi. – Eron podsumował tę niemą naradę z cieniem rozczarowania w głosie. – Oczywiście, o ile wypełnicie nasze żądania. Jesteśmy tu z pobudek ideowych, nie dla prywaty.

Księżniczka poczerwieniała jeszcze bardziej, tym razem przybierając dość urażoną minę, a Strażnik westchnął pod drzwiami z nieskrywaną ulgą.

– Jakże są te żądania? – rzucił pośpiesznie.

W sukurs przyszło mu pytające spojrzenie Paskudy, która dobudziła się wreszcie, przyczłapała pod Wieżę i zbliżyła pysk do okien, zaglądając ciekawie do środka.

– Jesteśmy Frontem Wolności! – oznajmił Eron patetycznie. – Dlatego też walczymy o szeroko rozumianą wolność, pod każdym względem i w każdym wydaniu... I dla każdego!

– Do rzeczy – przerwała mu Księżniczka oschle. – Jak rozumiem, bynajmniej nie dla każdego, bo o moją wolność wcale wam nie chodzi. Raczej jestem teraz podwójnie uwięziona, co bynajmniej uwolnieniem nie jest. Opuśćcie więc sobie całą tę waszą ideologię i mówcie wprost. Czego chcecie?

Zbójcy popatrzyli po sobie stropieni. Nie przewidzieli chyba takiego postawienia sprawy. Milczeli przez chwilę, zastanawiając się.

– Kwestię twojej wolności przedyskutujemy kiedy indziej – podjął wreszcie Eron, chrząkając z zakłopotaniem. – Przyjdzie czas i na ciebie. O, właśnie: uwolnimy cię na samym końcu i w ten sposób zwieńczymy naszą misję. Szczegóły później. – Rozejrzał się po towarzyszach, napotykając ich pełne aprobaty spojrzenia. – A teraz, do rzeczy. Nasze pierwsze żądanie: uwolnić smoka!

Księżniczka zamrugała oczami, pokręciła głową w zdumieniu i wpatrzyła się w zbójcę pytająco, jakby chciała się upewnić, czy ten aby nie żartuje.

Strażnik oderwał policzek od drzwi, potrząsnął głową, podłubał w uchu palcem. Przesłyszał się czy co?

Paskuda sapnęła gwałtownie, cofnęła się i przysiadła na ogonie w zdumieniu.

Twarze zbójców rozpromieniły się. Widocznie obmyślili ten manewr już na samym początku planowania akcji i nie mogli doczekać się jego wykonania.

– Drogi smoku! – zawołał Eron. – Podejdź tu bliżej!

Paskuda natychmiast przybliżyła pysk do okien, łypiąc ślepiami z prawdziwym zainteresowaniem.

– Trzymają cię tu w poniżających warunkach! – przemówił Pierwszy Zbój z patosem. – I zmuszają do wykonywania wyjątkowo niegodziwej pracy. Pożerasz szlachetnych rycerzy, którzy ci w niczym nie zawinili, a wszystko to po to, by wspierać żądnych władzy krwio pijców i chronić kastową nieskalaność córki swego ciemieżyciela!

Paskuda wbiła w niego szokowane spojrzenie, po czym sapnęła ponownie i zamyśliła się.

– Mniam? – rzuciła wreszcie, bardzo nieśmiało i cichutko. – Mniam, ble? Buuu... – oznajmiła z żalem.

– Niestety, to prawda. Powinnaś więc natychmiast zerwać z tym nikczemnym procederem. Rozumiemy jednak, że kajdan niewoli nie da się odrzucić tak łatwo! – kontynuował Eron, każde jego słowo tchnęło niezgłębioną empatią – I może być ci trudno działać przeciwko dotychczasowym panom... Nie będziemy zatem nalegać na żadne zdecydowane akcje z twojej strony, droga Paskudo. Tak się bowiem nazywasz, prawda?

Paskuda popatrzyła na niego z wdzięcznością i pokiwała gorliwie łbem, rzucając również krótkie, ukradkowe spojrzenie w kierunku Księżniczki.

– Oto, co ci proponujemy: pozostań neutralna! – zaproponował Eron dość protekcyjnym tonem. – Pozwól nam działać na rzecz twojej wolności... A ja ci obiecuję, że twojej dotychczasowej pani włos nie spadnie z głowy, o ile oczywiście spełnione zostaną nasze żądania. W końcu, ona też tu jest poniekąd ofiarą dotychczasowego reżimu...

Paskuda pokiwała entuzjastycznie pyskiem, a Księżniczka popatrzyła na zbójcę ze zdumieniem, mieszanym z nieśmiałą nadzieją.

– Jestem ofiarą... – powtórzyła za nim machinalnie. – No, właściwie to tak...

– Nic ci to nie pomoże – przerwał jej Eron kategorycznie. – Tak czy inaczej, obecnie należysz do reżimu. Dla ciebie nie będziemy mieli żadnych względów. A nawet jeżeli jakies, to dopiero na samym końcu. Na razie jesteś naszą zakładniczką

i chyba nie muszę opisywać, co ci może grozić ze strony takich podłych zbójców, jak my. Jasne?

Księżniczka zwiesiła smętnie głowę, wzdychając żałośnie. Strażnik załomotał wściekle pięścią w drzwi.

– Ja tu wszystko słyszę! – upomniał zbójcę, trochę bezsensownie. – Niech mi tylko włos z jej głowy spadnie...

– Dalsze żądania – oznajmił Eron, nie podejmując dyskusji. – Zakładnik za zakładnika. Uwolnić Agrabiego, naszego mistrza i duchowego przywódcę.

– Niby jak to mam zrobić? – Księżniczka podniosła głowę, oburzona. – Nawet nie znam człowieka... Czy wyście nie pomylili Wieży przypadkiem?

– Agrabi jest przetrzymywany w lochu Księcia Pana – wmieszał się Alik z wyjaśnieniem. – Niby to za przywłaszczenie sobie powierzonych mu funduszy na zakup aprowizacji... Oczywiście, Książę Pan zostawił mu te dukaty specjalnie. Wszyscy wiemy, że to nic innego, jak tylko polityczna prowokacja!

– Nasz mistrz przeszkadzał możliwym, wywalając im prawdę w same oczy – wycedził ponuro Eron. – Ale raz uwolnionej wolności nie da się zniewolić z powrotem! – wypalił z determinacją.

Jego kamraci z przekonaniem pokiwali głowami.

– Na dodatek żołdacy Księcia Pana zagarnęli te fundusze razem z Agrabim, niktzemnie plądrując jego kryjówkę! – zdenerwował się nagle Zen, siedzący dotąd cicho przy oknie w pobliżu toaletki. – A mieliśmy przeznaczyć je na spłatę długów i rozwój naszej organizacji... – Rzucił porozumiewawcze spojrzenie w kierunku Erona, który łaskawym skinieniem udzielił mu przyzwolenia. – Teraz Książę Pan ma nam je oddać i to na dodatek podwójnie! – kontynuował więc ośmielony Zen. – To jest nasze trzecie i ostatnie żądanie. Jak na razie! – zastrzegł.

Księżniczka pokręciła głową, po czym schowała twarz w dłonie.

– To przegrana sprawa – westchnęła ciężko. – Ojciec nigdy nikomu nie odda ani potencjalnej ofiary, ani, tym bardziej, pieniędzy. Nie macie po co nawet zaczynać negocjować...

– Nie będziemy negocjować – oznajmił Eron poważnie, a jego koledzy przybrali marsowe miny. – Wysłaliśmy jednego z nas do Zamku. Nie będzie negocjował, na to jest stanowczo za głupi. Ma tylko przekazać, że jeżeli do jutra rana nie pojawi się tutaj Agrabi, sam, tylko z gotówką... Czy muszę ci mówić, co dalej? Chyba nie chcesz tego wiedzieć...

Księżniczka natychmiast podniosła głowę i wbiła w niego zaniepokojone spojrzenie.

– Masz dwadzieścia cztery godziny. – Zbój ściszył głos do scenicznego szeptu. – Do jutra rana. A potem... – Gwałtownym ruchem przesunął palcem wskazującym po szyi. – Chlast!

Księżniczka wzruszyła demonstracyjnie ramionami, które jednak lekko drżały. Paskuda parsknęła zza okna z wyraźnym protestem.

– Tylko tak mówię – złagodniał Eron natychmiast, odwracając się do smoczycy. – A ty pamiętaj, miałaś się nie wtrącać. Neutralność, moja droga, to jedyna otwarta ścieżka ku twojej wolności – zakończył patetycznie.

Paskuda poparskała jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i poczłapała do jeziora, kręcąc we wzburzeniu łbem i coś sobie bulgocząc pod nosem. Zanurzyła się dosyć pośpiesznie i pozostała w głębinach.

– A więc mamy jasną sytuację – podsumował przywódca zbójców z nieskrywaną satysfakcją. – To teraz pozostaje nam tylko czekać. Agrabi będzie tu dziś wieczorem... Najpóźniej jutro rano, o ile Księżę ma jeszcze odrobinę oleju w głowie.

W oczach Księżniczki zakręciły się łzy. Zwiesiła smutnie głowę i pociągnęła parokrotnie nosem.

Strażnik odwrócił się i oparł plecami o drzwi, uderzając w nie tyłem głowy w geście pełnym bezsilnej rozpacz.

Zbójcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym w milczeniu posiadali na podłodze, na wszelki wypadek trzymając broń w pogotowiu. Rozpoczęły się długie, pełne napięcia godziny...

Świt zastał ich w sytuacji niewiele zmienionej. Zbójcy wciąż okupowali komnatę na szczycie Wieży. Z początku starali się nieco rozruszać Księżniczkę, zapewniając dobrodusznie, że nie powinna tej całej historii traktować zbyt osobiście. Ta jednak siedziała cały czas na łóżku, wtulając się w kąt bez jednego nawet słówka. Nawet na propozycję zagrania w okręty celem zabicia czasu odpowiedziała jedynie wzgardliwym, wyniosłym ruchem głowy.

Zbójcy markotnieli więc coraz bardziej, nudząc się setnie i przemyślując pośepnie, że ich arcygenialny plan być może wcale nie był aż tak genialny.

Strażnik zaś miotał się gorączkowo po schodach pomiędzy górną komnatą a własną izdebką. Wymyślił już był w międzyczasie sto tysięcy planów wydostania Księżniczki ze szponów oprawców. Niestety, żaden z nich nie nadawał się do realizacji. Każdy mógł się bowiem zakończyć sceną, w której Księżniczka zawiera zbyt bliską znajomość ze zbójceckim nożem, a do tego Strażnik nie mógł absolutnie dopuścić. Odrzucał więc pomysł za pomysłem, klnąc pod nosem siarczyście. Gdyby chociaż miał do pomocy Paskudę... Ta jednak, skryta w jeziorze, nie dawała znaku życia. Być może faktycznie zaakceptowała swoją neutralność jako ścieżkę ku upragnionej wolności. W końcu Strażnik usiadł, zrezygnowany, pod drzwiami na gorze, by przynajmniej nasłuchiwać i jakoś kontrolować sytuację.

Dniało coraz bardziej i bardziej nieustępliwie, świt nieuchronnie zmienił się w poranek, ten po jakimś czasie przeszedł w przedpołudnie... A wieści z Zamku wciąż nie było. Żadnych.

Wraz z upływem czasu atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Zbójcy co i rusz podchodzili do okna, wpatrując się w horyzont zmęczonym wzrokiem. Byli niewyspani i w dodatku głodni. Odmówili bowiem przyjęcia przygotowanego przez

Strażnika posiłku, wietrząc w tym, nie bez pewnej dozy słuszności, jakiś podstęp. Czekali więc i czekali, coraz częściej zawieszając pytające spojrzenia na Eronie, który jednak uporczywie udawał, że niczego takiego nie dostrzega.

– No to co? – Nie wytrzymał wreszcie Rosz, stając przed prowodyrem w wyczekującej pozycji i rzucając znaczące spojrzenie w kierunku Księżniczki. – Ciach?

Eron powiódł po nim niechętnym wzrokiem, po czym pokręcił głową, bardzo, bardzo powoli.

– To zawsze zdążymy – rzucił z niejakim rozdrażnieniem w głosie. – Zresztą, ranek jeszcze się nie skończył...

– Tia, przecież dopiero za pięć dwunasta – zauważył Alik spod okna zgryźliwie. – Kupa czaaasuu, nie ma co szaleć...

– Musimy dotrzymać słowa! – oznajmił Rosz z przekonaniem. – Inaczej nikt nie będzie traktował nas poważnie. Mówię ci, Eron: ciach!

Strażnik spał się pod drzwiami. A więc jednak doszło do ostateczności. Chcąc nie chcąc, będzie musiał wdrożyć któryś z tych ryzykownych planów... Zbiegł kilka schodków w dół i postać przez chwilę nieruchomo, oddychając głęboko i koncentrując się z całych sił. Wreszcie zamachnął się, jakby chciał wziąć rozbieg... Ale zatrzymał się w miejscu, usłyszawszy radosny ryk któregoś zbójcy.

– Jest! – darł się triumfalnie Alik, machając energicznie rękami w kierunku kropki, na horyzoncie. – Tak, to chyba on! To Ciamik!

Zbójcy stłoczyli się przy oknie. Zapewne rozpoznali kamrata, zaczęli bowiem wymachiwać rękami, wydając przy tym przepęłnione ulgą okrzyki.

Ciamik pędził ku nim co tchu, aż wreszcie zatrzymał się, zziębnięty, u stóp Wieży. Podniósł głowę ku kolegom, usiłując wydusić z siebie jakąś wiadomość. Nie zdążył.

Strażnik wypadł z Wieży w dzikim pędzie. Przetoczył się po przybyszu jak burza, błyskawicznie krepując go i kneblując. Wreszcie rzucił swoją ofiarę na ziemię i powiódł triumfalnym wzrokiem po twarzach pozostałych zbójców, z niepokojem obserwujących tę scenę z góry.

– No to mamy jeden – jeden – oznajmił poważnie. – Zakładnik za zakładnika. Idziecie na to?

Pokręcili przecząco głowami.

– Nie opłaca się. Księżniczka jest zbyt cenna – orzekł z przekonaniem Eron.

Więzień zaczął się gorączkowo miotać u stóp Strażnika. Próbował coś wykrzyknąć, pomimo dławiącego go knebla. Rzucał się i szarpał zawzięcie, nie reagując na uspokajające kopniaki, którymi tamten zaczął go częstować obficie.

– On chyba ma coś ważnego do powiedzenia – domyślili się zbójcy na górze. – Może go odknebluj chociaż, co? – zaproponowali.

– Najpierw uwolnijcie Księżniczkę – odpalił Strażnik twardo. – Potem ponegocjujemy.

Przybrał bardzo zawziętą minę i spojrzał do góry z wyraźnym wyzwaniem.

– Zupełnie się nie znasz na negocjacjach – westchnął w odpowiedzi Eron, kręcąc głową z rozczarowaniem. – Jak ją uwolnimy, to nie będzie już po co negocjować,

prawda? No. Ale jak chcesz, możemy ją zakneblować a potem odkneblujemy z powrotem. Żebyś wtedy ty mógł odkneblować naszego.

Strażnik popatrzył na niego ponuro, najwyraźniej zmuszony do uznania tej argumentacji. Westchnął ciężko, po czym pochylił się i zdecydowanymi ruchami rozkneblował złoczyńcę, klnąc przy tym co niemiara.

– Jada tutaj Czarni Mściciele! – zakrzyknął pojmany, kiedy tylko mógł mówić. – Oj, będzie gorąco! Zrównają Wieżę z ziemią, tak mówili!

– Jak to? – zapytał Eron, nie kryjąc zdenerwowania. – Jak to? – dołączyli doń natychmiast pozostali.

– Bul bul? – rzuciła niespokojnie Paskuda, wynurzając się pośpiesznie z jeziora.

– Co znowu spieprzyłeś, młody? – z udreką wymamrotał Alik, chwytając się oburącz za głowę. – Z tobą to zawsze tak, same kłopoty...

– Niczego nie spieprzyłem, bracie! – odparował Ciamik z oburzeniem, przekręcając się z pleców na bok. – Poszedłem do Zamku, jak było ustalone! I przekazałem wszystko tak, jak miało być! A potem uciekłem szybko i oto jestem... – popatrzył w górę na Strażnika. – Związany i bezbronny, wydany na pastwę tego sługusa krwiopijców! Co WY spieprzyliście tym razem? Mieliście go unieszkodliwić przecież! Rosz, to było twoje zadanie! I co się z nim stało?

– Nie wypił tej herbaty jednak... Wiesz, tej, co ją zostawił na murku wieczorem... Albo wypił za mało – odmruknął niechętnie Rosz. – Zapomniałem sprawdzić... A potem, no, potem już było za późno i my tu a on tam, no i wiesz... tego...

– Ale skąd Czarni Mściciele? – przerwał mu Eron zniecierpliwiony. – Jak przebiegała twoja misja? Ciamik, raportuj!

– No więc... tego... – wezwany przybrał dosyć niepewną minę. – Pobiegłem do Zamku no i dotarłem tam strasznie wcześnie... A ustalaliśmy przecież, że nie możemy im dać za dużo czasu na reakcję, bo jeszcze coś uknują... No to przespałem się trochę w tej naszej starej bazie, wiecie, tej fajniejszej, a że byłem zmęczony no i zdenerwowany, to ciut długo mi się zeszło. Więc jak się obudziłem rano, to już dwadzieścia cztery godziny minęły, co nie, więc poszedłem prosto do Księcia Pana i powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Ale się wściekł! Więc ja od razu myk i przybiegłem tutaj. A oni tam... Powiesili Agrabiego od razu. No a teraz szykują się na nas, rzecz jasna. Czarni Mściciele, mówiłem przecież.

– Co powiedziałeś Księciu Panu? – podejrzenie spokojnym, lodowatym tonem zapytał Eron.

Ciamik rozejrzał się dosyć nerwowo po okolicy, której głównym elementem widzianym z jego perspektywy były buty Strażnika. Uznał je chyba za nadzwyczaj interesujące, bowiem zaczął się w nie wpatrywać z napięciem.

– Co powiedziałeś, Ciamik?! – wrzasnął Eron, tracąc panowanie nad sobą. – Co znowu pokręciłeś, ty cholerna ciamajdo?

Zza jego pleców wychyliła się ciekawie Księżniczka, nie zdoławszy już dłużej wytrzymać w swojej królewskiej obojętności.

– Ooo... – powiedział Ciamik, wybałuszając na nią w zdumieniu oczy. – He?

– Co po-wie-dzia-łeś Księ-ciu Pa-nu! – wyskandowali zbójcy chórem. – Cia-mik!

– Przecież nie tak miało być! – zakrzyknął indagowany z wyraźnym protestem. – Czemu nie dotrzyмалиście słowa? Mieliście ją... tego... ciach... skoro świt! No to ja tak właśnie powiedziałem.

Strażnik pokiwał powoli głową, patrząc z góry na swego więźnia. Domyślił się, jak należałoby ustawić ten element łamigłówki. .

– Powiedziałeś, że Księżniczkę stracono o świcie, tak? – rzucił sucho. – A potem wysunąłeś listę żądań...

– Dokładnie! – potwierdził Ciamik gorliwie. – Tak, jak to miało być. Mieli ją stracić o świcie, a byłem tak trochę jakby później, to myślałem, że już po wszystkim. Powiedziałem więc Księżciu Panu, jak się sprawy mają, i wysunąłem listę żądań. Wypełniłem swoją misję skrupulatnie, co do joty.

– A teraz jadą tutaj Czarni Mściciele... – pokiwał głową Strażnik. – Aby pomścić Księżniczkę i zrównać Wieżę z ziemią.

– Zabiją wszystkich, których tu spotkają! – wykrzyknął Rosz, chwytając Erona za rękaw. – Uciekajmy!

– Przed Czarnymi nie uciekniesz – objaśniła go lodowatym tonem Księżniczka, po czym z godnością wycofała się w głąb pokoju i usiadła na łóżku. – Macie przerąbane, panowie. – dorzuciła, uśmiechając się z satysfakcją. – Tata właśnie spuścił ze smyczy swoje ulubione zwierzątka. Nie darują nikomu.

– A ty się tak nie ciesz! – pogroził jej Eron, odwracając się ku niej zapalczywie. – Wciąż jeszcze możemy cię... no wiesz... ciach!

Wzruszyła ramionami.

– To tylko pogorszy rodzaj przygotowanej wam śmierci – rzuciła wzgardliwie. – No i macie, czego chcieliście. Ponegocujecie może? Z Czarnymi Mścicielami? Chętnie posłucham... – nie mogła sobie odmówić drobnej złośliwości.

Eron odwrócił się z powrotem do okna, uderzając pięścią we framugę desperackim gestem.

– A ty też się tam nie ciesz! – syknął w kierunku uśmiechającego się triumfalnie Strażnika. – Nie masz z czego. Zadyndasz razem z nami, stary! Jak znam Księżcia Pana, nie będzie zadowolony z żenującego wręcz sposobu, w jaki zawałiłeś swoje obowiązki. Tak się dać podejść, wiesz, co...

Strażnikowi od razu zrzędała mina. Księżniczka otworzyła szeroko oczy z przerażenia i poderwała się z miejsca gwałtownie.

– On tutaj niczego nie zawałił! – zaprzeczyła zapalczywie. – W umowie o pracę ma napisane, że ma nie pozwolić nikomu mnie uwolnić... O zapobieganiu uwięzieniu, zwłaszcza podwójnemu, nie ma tam ani słowa!

– I komu chcesz to wcisnąć, dziewczynko? – parsknął Eron zjadliwie. – Zupełnie, jakbyś nie znała Księżcia Pana... Wcale nie będzie patrzył na jakieś tam umowy. Powiesi Strażnika od razu, bez ceregieli. I smoka też każe zastrzelić, zobaczycie! – zapowiedział z goryczą.

Paskuda zabalgotała gwałtownie, po czym zaczęła się skwapliwie rozglądać po obecnych. Wreszcie zawiesiła pytające spojrzenie na Księżniczce, która w odpowiedzi jedynie popatrzyła na nią ponuro.

– Buuuu... – Paskuda zajęczała z początku cicho, potem coraz głośniej. – Chlip... Chlip... Buuuu...

Całe zbójcekie towarzystwo zaczęło przestępować z nogi na nogę, z wyraźnie narastającym niepokojem. Paskuda zaś buczała i chlipała coraz głośniej i coraz bardziej żałośliwie.

– Cicho, Pasiu – odezwał się nagle Strażnik, wykonując uspokajający ruch ręką. – Panowie! – rzucił powoli, z namysłem. – Mam pewien pomysł... Proponuję przystąpić do negocjacji. Tak, jak żeście chcieli od samego początku.

Popatrzyli na niego ze zdziwieniem, ale i z nadzieją. Paskuda posłusznie przestała buczeć, choć ślepia miała wciąż załzawione.

– Punkt pierwszy – przypomniał Strażnik. – Uwolnić smoka.

Spojrzał pytająco na Księżniczkę. Ta załapała od razu. Powoli, z namaszczeniem, pokiwała głową.

– Pasiu, jesteś wolna – oznajmiła uroczyście. – Możesz iść, czy lecieć, dokąd tylko zechcesz.

Paskuda obejrzała się na nią ze zdziwieniem.

– Tak, Pasiu – powtórzyła Księżniczka z mocą. – Dokąd tylko zechcesz. I nikt nie może mieć o to do ciebie pretensji. Jesteś wolna. Masz na to moje książęce słowo.

Paskuda otworzyła szeroko ślepia, zabłyśnię nagle radością. Pośpiesznymi uderzeniami skrzydeł wzbiła się do góry. Wykreśliła piękny piruet i wywinęła salto, po czym, z wyraźną rozkoszą łopocząc skrzydłami, poleciała na zachód.

Patrzyli za nią, jak jej sylwetka maleje i maleje na tle horyzontu... a po chwili zatrzymuje się i powiększa z powrotem. Paskuda zawróciła. Być może na zachodzie nie spodobało jej się wystarczająco.

Zadarli głowy, kiedy przelatywała nad nimi, kierując się na wschód.

Potem jeszcze raz, kiedy poleciała na północ.

Na południe już jej się nie chciało.

Smoczyca wylądowała pod Wieżą, patrząc na nich oskarżycielsko. Przystąpiła z nogi na nogę, najwyraźniej bardzo sfrustrowana. Podreptała jeszcze parę kroków w prawo... Potem w lewo...

– Ble! – oznajmiła nagle stanowczo, po czym pomaszerowała wprost do jeziora.

Skryła się pod powierzchnią wody, burcząc z ogromnym niezadowoleniem. Księżniczka i Strażnik uśmiechnęli się do siebie ukradkiem.

– No dobrze. To teraz... Punkt drugi – powiedział Strażnik, poważniejąc. – Zakładnik za zakładnika.

Pochylił się i sprawnie porozcinał więzy Ciamikowi. Ten usiadł od razu i zaczął rozcierać ścierpięte dłonie.

Zbójcy w komnacie pojęli wreszcie jego chytry plan i rzucili się natychmiast do drzwi. Alik poszperał chwilę przy zamku, odblokował go i otworzył wyjście na oścież, zapraszając Księżniczkę szarmanckim ukłonem. Wybiegła więc czym prędzej, potknęła się na schodach ale utrzymała równowagę, dotarła na dół i rzuciła się na szyję Strażnikowi. Ten przytulił ją z nieskrywaną ulgą i kontynuował grę.

– Punkt trzeci... – powiódł wzrokiem po zbójcach, którzy wysypali się z Wieży w ślad za Księżniczką. – Kasa.

Oczy rozblęły im w nagłej nadziei.

– Nic z tego. – Pokręcił głową Strażnik zdecydowanie. – Słuchajcie, wy też musicie pójść na jakieś ustępstwa. Wypełniliśmy dwa z waszych trzech żądań. Chyba wystarczy.

Popatrzyli po sobie, nie kryjąc rozczarowania. Milczeli posępnie przez jakiś czas, przeżuważając gorzkie myśli.

– No, cóż... – westchnął wreszcie Eron. – Chyba możemy to nazwać sukcesem, nieprawdaż? – rozejrzał się po towarzyszach niepewnie. – Dwa z trzech żądań, to wynik całkiem niczego sobie...

Pokiwali głowami w milczeniu.

– Ale straciliśmy mistrza! – przypomniał Ciamik. – I co teraz będzie?

– Pamięć o nim nigdy nie zaginie – zaręczył Eron natychmiast. – A poza tym kto wie, może znajdziemy nowego... Spotkamy go pewnego dnia na naszej ścieżce...

– Z tym to raczej ostrożnie – zaprotestował Rosz. – Po co nam jacyś obcy mistrzowie, zresztą z takimi nigdy nic nie wiadomo. Wybierzmy sobie kogoś z nas, będzie nam z tym lepiej.

Zgodnie pokiwali głowami, po czym zaczęli przyglądać się sobie nawzajem w napięciu.

– Zen – zawyrokował Eron. – Moim zdaniem najlepiej się nadaje. Siedzi cicho, niedużo mówi, ale jak coś powie, to z sensem.

Zen uśmiechnął się skromnie, pokiwał głową, popatrzył w niebo.

– Takiego mistrza nam trzeba – poparł Alik tę kandydaturę natychmiast. – Dużo nam nie nabroi. Agrabiego to się słuchać nie dało czasem. Zwłaszcza jak się rozkręcił... Czy któryś z was w ogóle rozumiał, o co mu tak naprawdę chodziło?

– No jak to o co? – mruknął Zen zdziwiony. – O kasę. Jak zwykle. Normalne. Nie?

– Mistrzu, prowadź! – zakrzyknęli zbójcy, usatysfakcjonowani. – Takiego nam było trzeba! – Zaczęli go poklepywać po plecach gorliwie.

Zen stał w miejscu niewzruszenie, wciąż uśmiechając się skromnie. Księżniczka i Strażnik popatrywali na tę scenę z niejakim rozbawieniem, wciąż czule objęci.

– A teraz, skoro macie te najważniejsze wybory za sobą, to jazda stąd, i to już! – poradził Strażnik życzliwie. – Czarni są już pewnie niedaleko. I nie pojawiajcie się tu więcej, dobrze wam radzę...

– Jasne, jasne! – przytaknął Eron z przekonaniem. – Przeniesiemy naszą działalność na inny, bardziej podatny grunt. Krwiopijców nigdzie nie brakuje.

– Książę Gideford Anamirien z pewnością będzie miał wam wiele do zaoferowania w tym względzie – podsunęła Księżniczka perfidnie, mrugając porozumiewawczo do Strażnika.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i przytulił ją jeszcze mocniej.

– A my cóż, będziemy udawać, że się nic nie stało – obiecał. – Napad? Jaki napad? Skądże znowu! Złe języki, pomówienia! Niesprawdzone plotki! Przecież wszystko

jest w porządku, wszyscy na miejscach, jak zwykle. Ja na dole, Paskuda w jeziorze a dama w Wieży... – mina mu zrzedła, umilkł dosyć raptownie.

– Jak zwykle – westchnęła Księżniczka z rezygnacją.

– No to my się będziemy żegnać! – wykrzyknęli zbójcy pośpiesznie, dostrzegając na horyzoncie tumany kurzu, wzbijane zapewne przez oddział Czarnych Mścicieli. – Miło się z wami negocjowało! Pa! – I popędzili w kierunku lasu co sił.

Księżniczka ze Strażnikiem pobiegli do Wieży. Wspólnymi siłami zamknęli i zaryglowali drzwi. Potem Strażnik omal nie spadł ze schodów, wracając do siebie co tchu. Tętent galopujących koni stawał się wręcz ogłuszający. Czarni Mściciele byli tuż tuż.

W ostatniej chwili Księżniczka dopadła kuferka z chusteczkami.

– Pomocy! Pomocy! – zawołała, pojawiając się w oknie Wieży. – Ach, to wy... – mruknęła z ostentacyjnym rozczarowaniem, odkładając na bok chusteczkę.

– Wasza Wysokość! – zachłysnął się zdumieniem dowódca Czarnych, dopadając Wieży na spienionym koniu. – Cała i zdrowa? Tutaj?

– A gdzie mam być? – zdziwiła się Księżniczka obłudnie. – Zawsze tu przecież siedzę...

– Chcieliście czegoś, szlachetny panie? – zagadnął uniżenie Strażnik, wychodząc ze swojej izdebki.

Czarny pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Znaczy się, wszystko w porządku? – upewnił się na wszelki wypadek. – Nic się specjalnego tutaj nie działo?

Strażnik i Księżniczka przybrali wyjątkowo głupie, zdumione miny. Pokręcili głowami przecząco.

– A gdzie smok? – rzucił jeszcze Mściciel podejrzliwie.

Paskuda wynurzyła się z jeziora, jakby tylko na to czekała, i plunęła na niego strumieniem ciepłej, nagrzonej przez lipcowe słońce wody.

– No tak. Wszystko jak zwykle – westchnął Czarny, teraz już całkowicie przekonany, po czym odwrócił się do kolegów. – No patrzcie, chłopaki, ale numer. Ten przygłup wprowadził nas w błąd!

– A my żeśmy powiesili tego szefa aprowizacji, Agrabiego. – Pokręcił głową jeden z nich. – Całkiem niepotrzebnie, jak się okazuje. No coś takiego...

– Eee tam, za coś mu się na pewno należało – pocieszył go dowódca. – Poza tym, dzięki temu jego następca będzie się lepiej starał. No i nareszcie coś się dzisiaj działo, do cholery!

– Fakt – pokiwali Czarni Mściciele głowami. – Niewiele, co prawda. Ale dobre i to...

Księżniczka i Strażnik zawiesili na przybyszach ostentacyjnie zmęczone i znudzone spojrzenia.

– No, skoro wszystko w porządku, to nic tu po nas – zreflektował się natychmiast dowódca Mścicieli. – Oddział, odwrót! Do widzenia, Wasza Wysokość! Miłego bytowania w Wieży!

Czarni zawrócili konie i skierowali się ku Zamkowi, kłusując leniwie.

– W sumie... Trochę szkoda, nie uważasz? – doleciały do Wieży strzępki ich rozmów.

– Kogo? Tego złodzieja ci szkoda?

– Nie, tej dzisiejszej akcji...

– Zdechniemy tu z nudów, jak tak dalej pójdzie...

– Racja, stary. Kompletnie nie ma co robić...

– Za dobrzy jesteśmy, ot, co... Teraz się nas wszyscy boją...

– A mówiłem, żeby coś spieprzyć, to może by było ciekawiej, a tak to co, sama nuda, nic się nie dzieje.

– Ej przestań, Gidefordowi nigdy nic nie spieprzyli, to i nam nie wypada.

– Oni też się nudzą...

– Jak zawsze, stary, jak zawsze...

– Taka praca...

Rozmowy ucichły wreszcie, sylwetki Mścicieli zniknęły za horyzontem.

Strażnik i Księżniczka jeszcze przez jakiś czas patrzyli za nimi w ślad. Potem wymienili porozumiewawcze spojrzenia i rozeszli się, każde na swoje stare, z dawien dawna określone miejsce.

Paskuda została. Siedziała tuż przy brzegu, do połowy zanurzona w wodzie, z bardzo skupioną miną.

Chyba o czymś myślała.

A może tak tylko chciała sobie posiedzieć.